

Czterolatek przy fortepianie

Zwierzenia przy muzyce. W domu dziadka grał Vladimir Horowitz - mówi Konstanty Vilensky

57.

kinowy sezon rozpoczyna w Bydgoszczy Klub Miłośników Filmu „Mozaika”, największy i najstarszy klub filmowy w kraju. W połowie ubiegłego sezonu siedzibą klubu zostało kino „Orzeł”, działające w Miejskim Centrum Kultury przy ul. Marcinkowskiego. Kino zapewni 260 miejsc i tytuł może być klubowiczów. Zapisy do „Mozaiki” rozpoczną się dzisiaj o godzinie 15.00 w kinie „Orzeł” przy ulicy Marcinkowskiego, a inauguracyjny seans zaplanowano na godzinę 18.15. Klubowicze obejdą dwa krótkometrażowe filmy mentalne: „Potencjalnie mamy dozorcę Mariana” i „Ona nie siada”, wysłuchają jednego z bydgoskich aktorów filmoznawców, dziającej do obrazu „Człowiek przejsiach” w reż. Artura z udziałem Wójcika. We wrześniowym programie znalazł się także film „16.09.”, którego reżyserem jest Ryszard Ruciński, zapowiedział koncert „Mozaika”. Szczegóły działalności Klubu Miłośników Filmu „Mozaika” na stronie internetowej: mozaika.org.pl.

Od kogo brał Pan wzorce?

W domu dziadka jeszcze przed moim urodzeniem grał Vladimir Horowitz, Henryk Neuhaus i wielu innych muzyków. Moja babcia znała całą literaturę operową, śpiewała nie tylko solowe arie z oper, ale i duety, tria czy kwartety.

Nigdy Pan nie miał kłopotu, jaki instrument wybrać?

Trochę był Pan skazany na muzykę - rodzinnie...

Nie musiałem zastanawiać się, co będę robił w życiu. W domu stał fortepian, miałem trzy - cztery lata i już próbowałem grać. U dziadka w domu odbywały się koncerty - schodzili się poeci, kompozytorzy, aktorzy, naukowcy, nawet żołnierze.

Potrafi Pan mieszać między muzyką klasyczną a jazzem...

Gram tak, jak czuję. Na początku poznałem klasykę, później jazz i w pewnym momencie wyszła naturalnie ta symbioza. Jak gram, nie myślę specjalnie, że teraz będę grał jazz.

Pięknie mówi Pan po polsku...

Tak musi być, w końcu tyle lat tu mieszkam. Po raz pierwszy przyjechałem tu w 1992 roku, a w 1995 dostałem propozycję pracy.

Z KONSTANTYMI VILENSKYM, pochodzącym z Ukrainy, a mieszkającym w Polsce pianistą wirtuozem, który niedawno gościł w Bydgoszczy podczas cyklu koncertów „Rzeka Muzyki”, rozmawia Magdalena Jasińska.



Konstanty Vilensky

FOT.: NADESJANA

Nie miałem możliwości rozważań, w domu był fortepian i to koncertowy, więc grałem na tym instrumencie. Dziadek był dyrektorem filharmonii w Kijowie i tradycją było zapraszanie do domu goszczących muzyków.

Czy miłość do muzyki improwizowanej przeważa u Pana nad klasyką?

Nie powiedziałbym - to idzie równoległe. Jako muzyk klasyczny staram się po swojemu interpretować, żeby móc coś powiedzieć od siebie. Kiedy improwizuję, zmieniam rytm, nuty czy harmonię i też opowiadam po swojemu. Jazz zaczął mnie zachwycać już dawno. Moi przyjaciele zauważyli, że

bardzo interesuje mnie harmonia jazzowa, kiedy grałem w chwilach wolnych za kulisami. Zaproponowali mi, żebym wykladał harmonię na nowo utworzonym wydziale jazzowym. Niektórzy próbowali mi udowodnić, że skoro mam klasyczne wykształcenie, to nigdy dobrze nie zagram jazzu. Sam uważałem inaczej. Trzeba dobrze znać podstawy muzyki - tylko wtedy można coś osiągnąć w jazzie. W pewnym momencie zorganizowaliśmy koncert w szkole, tam zagrałem wraz z trzema innymi muzykami. To były czasy, kiedy jazz był grany w zadymionych piwnicach, to był koniec lat 60. początek 70. Po tym występie jazzmani podchodzili i namawiali mnie do tego, bym grał taką muzykę. Przygotowaliśmy programy i zaczęliśmy występować. Wytwórnia Melodia nagrała naszą jazzową płytę podczas koncertu. I tak się zaczęło.

Nigdy nie miał Pan problemów z władzą grając jazz?

Oczywiście, miałem. Kiedy zaczęliśmy grać koncerty, byłem już członkiem Związku Kompozytorów. Związek był bardzo aktywny, nawet mnie poproszono, abym zagrał koncert muzyki jazzowej. Problemem był repertuar, nie można było grać amerykańskich standardów jazzowych. Zastanawialiśmy się więc, jak to obejść. W pewnym momencie jeden z kompozytorów radzieckich polecił proste wyjście z sytuacji. Pisałem w programie, że to wariacje na tematy i tu zamiast pisać oryginalny tytuł standardu dawałem ich

rosyjskie tłumaczenie. Już po roku, kiedy przyszła pierestrojka, można było grać legalnie standardy jazzowe.

Jak Pana ściągnięto do Polski?

- Zupełnie przypadkowo. W 1992 roku, zaraz po rozpadzie Związku Radzieckiego, pewna grupa artystyczna zaczęła współpracować z podobną na Ukrainie. Zaczęto mnie zapraszać do Polski, grałem w Kielcach i tak po małym kroku zapoznawałem ludzi i miejsca, w których można grać. Potem Teatr Żeromskiego zaproponował mi współpracę - akompaniowałem aktorom w muzycznych spektaklach. I tak minęło parę lat i dostałem propozycję objęcia stanowiska kierownika artystycznego teatru. Najpierw był kontrakt na rok, potem był on przedłużany co roku. Ja wówczas nawiązałem kontakty z polskimi muzykami jazzowymi. Dojechali do mnie żona z córką.

Dobrze Panu w Polsce?

Czuję się człowiekiem świata. Jeżdżę po świecie, mówię po angielsku, francusku, w językach słowiańskich. Nawet przez to jeżdżę dość regularnie do Izraela, nie mając żadnych żydowskich korzeni, mówię trochę po hebrajsku.

Magdalena Jasińska zaprasza do wystuchania audycji „Zwierzenia przy muzyce” w Polskim Radiu Bydgoszcz i Kujaw w środę o godzinie 18.00.

A jednak koleika!